

Rozdział Dwunasty: Musi Trwać

“Więc uważasz, że możesz mnie pokonać na mojej scenie, w moim mieście? Zejdź tu i przekonajmy się.”

Śniadanie.

Położyłam małą kupkę kapsli na obitej blachą ladzie, a ciemnobrązowy, pokryty bliznami kucyk z uroczym znaczkiem przedstawiającym kawałek pieczonego mięsa zdjął z rusztu grilla szaszłyk z królika. Choć byliśmy gośćmi, nadal musieliśmy płacić za jedzenie; nie wiem, dlaczego spodziewałam się, że będzie inaczej. Smakowity zapach wypełnił moje nozdrza, kiedy zabrałam swój posiłek i zaniósłam go do stołu, gdzie Calamity rozprawiał się z miską owsianki.

— Littlepip, co ty robisz!?? — wykrzyknęła na mój widok Velvet Remedy. Stanęłam w miejscu, patrząc na nią pytająco. Wyglądała na wstrząśniętą — Nie zamierzasz chyba tego *jeść*?

Skinęłam głową, nie mogąc udzielić słownej odpowiedzi z szaszłykiem w zębach. Burczało mi w brzuchu. Wciągnęłam odrobinę cieknącej mi śliny i poczułam smak grilowanego królika. Nie smakował do końca tak, jak oczekiwałam, i sprawił, że mój żołądek dziwnie się skurczył, ale był *pyszny!*

— Littlepip... — Velvet przesadnym gestem przyłożyła kopyto do piersi — To jest *mięso!*

— M-hm — odparłam poprzez moje śniadanie, mając płonną nadzieję, że skoro już to ustaliliśmy, to będę mogła zjeść w spokoju.

Oczy Velvet Remedy zwęziły się.

— Jesteśmy wegetarianami. — powiedziała stanowczo.

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę. Prawda, w Stajni Dwa jadłam tylko jabłka, ale zakładałam, że to dlatego, że było to jedyne co mieliśmy. I nie będę płakać, jeśli już nigdy nie zjem żadnego jabłka. Wróciłam myślą do moich pierwszych posiłków na zewnątrz... jak znalazłam w lodówce gotowane mięso i po prostu założyłam, że to właśnie jedzą kucyki na pustkowiach. Mój żołądek nie był zbyt zadowolony, ale uznałam, że to dlatego, że przez całe życie jadłam wyłącznie jabłka, i że po prostu będę musiała się przyzwyczaić. Wydawało mi się, że szło mi to całkiem nieźle.

Oczywiście, teraz kiedy nad tym myślałam zdałam sobie sprawę, że była to lodówka *bandytów*. Ich dieta była podejrzana.

Calamity w końcu oderwał się od miski z owsianką i dołączył do rozmowy.

— E, możemy jeść mięso. Po prostu tego nie lubimy. Nie jest to zbyt dobra dieta. — Calamity rozejrzał się na boki, wykrzywiając pokryte owsianką usta — Moi bracia czasem wyzywali mnie na pojedynki w jedzeniu hot-dogów. Najczęściej kończyło się to tym, że wpychali mi te obrzydlistwa siłą do gardła.

Velvet Remedy wyglądała na zbulwersowaną.

— Choć pewnie były obrzydliwe nie dlatego, że były z mięsa, tylko dlatego, że miały ponad dwieście lat.

Poczułam, jak tracę apetyt. Uh! Zmiłuj się Celestio, mam nadzieję, że chociaż cały ten czas spędziły w zamrażarce!

Velvet Remedy zadarła nos i poszła, zostawiając nas samych przy stole. Kiedy odchodziła, obok nas wylądowała Gawd z talerzem pieczonych szczurów. Velvet wzdrygnęła się z obrzydzeniem i przyspieszyła kroku. Wsysając szczura za ogon i połykając go w całości, Gawd spojrzała na mnie i spytała:

— Co ją ugryzło?

*** *** ***

— Domyślam się, że będziesz chciała wyruszyć po śniadaniu? — zapytała Gawd. Pomiędzy kęsami grilowanych warzyw i króliczego mięsa, opowiedziałam jej o siłach Red Eye'a. Wysłuchiwała owych wieści z ponurym wyrazem twarzy — Nadal chcesz tą eskortę?

To pytanie nie dawało mi spać całą noc. (Nie to o eskortę, tylko o ruszaniu w drogę.) Mogliśmy ruszyć od razu i zostawić Strzaskane Kopyto za sobą. Opuścić te strony zanim wydarzenia nabiorą tempa i zostawić owe kucyki losowi, który same sobie zgotowały. Była to, przyznam, bardzo kusząca perspektywa. Zwłaszcza, że pozostałe opcje prawie na pewno oznaczały, że ktoś będzie do nas strzelał, nie mówiąc o dużej szansie na utratę życia.

Czy było tu coś lub ktoś warty ryzykowania życiem mnie i moich towarzyszy?

— M-myślała o tym, żeby zostać. — przyznałam — Jeszcze odrobinę dłużej.

Gawd uśmiechnęła się na to znacząco.

Z drugiej strony, nie miałam dokąd pójść. Nie miałam domu. Wyrzucono mnie z jedyne przyjaznego miasta jakie dotąd napotkałam. Byłam równie zagubiona jak wcześniej. Czułam się jak wtedy w Stajni Dwa, kiedy nie miałam jeszcze uroczego znaczka, kiedy nie miałam swojego miejsca. Uczucie pozostało to samo... zmieniły się tylko ściany. (Nawet sufit był szary – po prostu znajdował się wyżej.) Byłam kucykiem z PipBuckiem na boku – symbol, który nie znaczył nic szczególnego w Stajni Dwa, nie znaczył też nic na pustkowiach.

Stróż powiedział mi, żebym szukała swojej cnoty. Jaką cnotą bym się wykazała odchodząc? Dobra, może zdrowym rozsądkiem. Czy zdrowy rozsądek jest cnotą? A może instynktem samozachowawczym?

Prawdę mówiąc, nie miałam przed sobą jakiegoś większego zadania. Z osobistego punktu widzenia uważałam, że niewolnictwo to odrażająca praktyka i chciałam zająć się Red Eye'em. (Owszem, widziałam znaki świadczące, że Red Eye był zamieszany w coś dużego; jednak tylko ciekawość i niepokój zachęcały mnie do zbadania tego bliżej.) Mogłam odejść pod pozorem, że ruszałam, aby zrobić coś w kierunku pozbycia się Red Eye'a, o ile to rzeczywiście miał być mój cel. Tyle że ta mała armia obozująca zaraz za tamtymi wzgórzami należała właśnie do niego. No i skoro na prawdę chciałam się zająć łowcami niewolników, to czemu nie tutaj?

— Powinniśmy pogadać. — Calamity posłał mi wymowne spojrzenie.

Gawd przyglądała mi się w zamyśleniu, rozważając swoje opcje. W końcu, podjęła decyzję.

— Jeśli chciałabyś zostać, to mam dla ciebie kontrakt.

— Och? — uniosłam brwi.

— Co byś powiedziała na to, żebyś pozbyła się dla mnie Deadeyes'a?

Uniosłam uszy. Calamity patrzył na nas, zaskoczony.

— Ja? Dlaczego?

Gawd skrzywiła się.

— Bo jeśli ty tego nie zrobisz, to będę musiała zrobić to sama. I choć wydaje mi się, że mieści się to w ramach mojego kontraktu z Panem Topazem, rezultaty polityczne nie były by dobre. Deadeyes ma wielu zwolenników, a ja nie lubię oglądać się co chwilę, czy ktoś nie wbija mi włóczni w plecy.

— Nie bardzo rozumiem, jak wynajęcie nas do pozbycia się go robi z ciebie mniejszy cel dla innych.
— stwierdził Calamity.

— Może nie robi. — zgodziła się Gawd — Ale watro spróbować. O ile — dodała, spoglądając na mnie — jesteś gotowa się tego podjąć.

Zawirowało mi w głowie. Czy byłam w stanie zabić Deadeyesa? Cholera, i tak chciałam to zrobić. Rozważałam to, tak jak i inne rzeczy. Ale przyjąć na niego *zlecenie*? Stałam się już samozwańczą obrończynią niewinnych, ale czy byłam gotowa stać się *zabójcą*?

Byłam poza Stajnią więcej niż tydzień, mniej niż dwa. Jeśli teraz się tego podejmę, to czym będę za miesiąc? Albo w moje następne urodziny?

— Z-zastanowię się nad tym. — odpowiedziałam szczerze. Gawd zmarszczyła brwi. Oczywistym było, że wolałaby od razu poznać odpowiedź. Nie zostało już dużo czasu. Mieliśmy mniej niż jeden dzień, zanim siły Red Eye'a wkroczą do Strzaskanego Kopyta.

Zdałam sobie sprawę że, biorąc pod uwagę to, co wiedziałam o Gawd i Szponach, darzyła by mnie ona większym szacunkiem gdybym zapytała:

— Co będziemy z tego mieli? O jakiej zapłacie myślisz?

Przysięgam, że w kąciu dzioba Gawd dostrzegłam cień uśmiechu.

— Deadeyes ma klucz. Trzyma go bez przerwy ukrytego w swoim ogonie. Klucz ten otwiera skarbiec pod Strzaskanym Kopytem, na dole, w starych kopalniach.

To miało sens. Oczywistym było, że miejsce takie jak Strzaskane Kopyto zostało zbudowane nad grupą kopalni klejnotów. Nie mogli zawsze polegać tylko na kamiennych farmach. A kiedy kopalnie się wyczerpały, nie nadawały się na nic innego jak na magazyny. Nawet ostatnia wiadomość Diamond Tiary mówiła coś o wysłaniu klejnotów "na dół".

— Co jest w tym skarbcu?

Gawd uśmiechnęła się przebiegle.

— Twoja zapłata, jaka by ona nie była. Może klejnoty. Może broń. Kuce z przed apokalipsy używały klejnotów do wyrobu magicznej broni energetycznej. Zbrojownia była ich pełna, więc można bezpiecznie założyć, że w skarbcu może być jej więcej.

Pomysł składowania masy magicznej broni tuż pod więzieniem wydał mi się bardziej niż odrobinę szalony. Przecież na pewno nie produkowali jej na miejscu.

Z drugiej strony, jeśli zabiłabym Deadeyes'a, to wcale nie dla nagrody.

*** *** ***

— *Nie możesz tego zrobić.*

Velvet Remedy tupąła i parskąła, krążąc dookoła po wnętrzu bydlęcego wagonu, pustego za wyjątkiem naszej trójki.

— Littlepip, jedną rzeczą jest zabijać w samoobronie. Lub by chronić innych. Ale to... — rzuciła mi spojrzenie, które zmroziłoby samą Nadzorczynię — To. Jest. *Morderstwo!*

Calamity patrzył na mnie złym wzrokiem.

— Muszę się tu zgodzić z Velvet Remedy, Li'lpip. — powiedział stanowczo — Rozumiem Szpony, mogę ich nawet trochę szanować. Ale nie jestem najemnikiem. Jeśli to zrobisz, ja ci nie pomogę.

Velvet cięła głębiej.

— Pamiętasz tą piosenkę, którą pisałam, tą o pozostaniu szlachetną i wierną ideałom? Była o tobie, Littlepip. Ale to, to oznacza, że zawiodłaś na całej linii. Nawet rozważając coś takiego... — odsunęła się ode mnie, a w jej głosie dało się słyszeć żal — Bardzo. Mnie. Zawiodłaś.

Czułam się, jakbym się wykrwawiała, umierała. Ale im więcej na mnie krzyczeli, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że już podjęłam decyzję. Musiałam tylko sprawić, żeby zrozumieli, dlaczego.

— Silver Bell.

Obydwoje umilkli, wbijając we mnie wzrok. Po długiej, ciężkiej ciszy, Calamity zapytał:

— A co do tego ma Silver Bell?

Czułam się słabo, ale trzymałam się mojego postanowienia.

— Matka i ojciec Silver Bell zostali zabici przez bandytów. Którzy zmusili ją i jej siostrę, żeby patrzyły. Pamiętacie?

Dostrzegłam drżenie na twarzy Velvet.

— Oczywiście, że...

— Zmusili je. Żeby. Patrzyły! — podkreśliłam każde słowo tupnięciem kopyta — I zabili ich powoli. Bardzo powoli, w bardzo bolesny, straszliwy sposób! — zapytałam ponownie — Pamiętacie?

Moi towarzysze milczeli.

— Ci bandyci przyszli *stąd*. — powiedziałam im w końcu — I działali z rozkazu Deadeyes'a. — splunęłam — Widziałam to w jego rejestrze.

Calamity odezwał się pierwszy.

— Cóż, to zmienia postać rzeczy.

Velvet Remedy trzęsła się z lekka, ale pozostała nieugięta.

— Co dokładnie to zmienia?

— To już nie morderstwo. — powiedział bez ogródek Calamity — To sprawiedliwość.

— Masz na myśli zemstę. — Velvet potrząsnęła głową.

— Nie. Mam na myśli sprawiedliwość. Czystą i prostą. — Calamity skinął mi głową — Wchodzę w to. — zerknął znacząco na mój róg — Jak tam twoja T-K?

— Odpoczynek zdziałał cuda. Nie będę żonglować pociągami — przyznałam — ale z beczkami chyba sobie poradzę. Jak twoje skrzydło?

Wzrok Velvet Remedy skakał na miedzy nami. Z nutką desperacji w głosie, zapytała:

— Planujecie znaleźć bandytów odpowiedzialnych za śmierć rodziców Silver Bell i też ich zabić? Czy po prostu zrównacie całe Strzaskane Kopyto z ziemią?

— To bandyci. — Calamity powiedział spokojnie, rozkładając skrzydło — Szczerze mówiąc, to żem się właśnie zastanawiał, czemu w ogóle im pomagamy. Tak se myślę, niech oni i łowcy zajmą się sobą nawzajem. Potem zdepczemy to, co zostanie.

Miałam inny pomysł.

— Tak właściwie, to nie wszyscy tutaj są źli. — pomyślałam o łamaczu skał z którym rozmawiałam, kiedy ten eskortował mnie do wyjścia — Sądzę... Wierzę, że można zmienić to miejsce. Z twierdzy bandytów mogłoby się zmienić w handlowe miasto. — kiedy to mówiłam wiedziałam, że brzmiało to kretyńsko idealistycznie. Mimo to kontynuowałam — Myślę tak: zabijamy Deadeyes'a. Odszukujemy Pana Topaza i rozprawiamy się z nim; jeśli się da, to pokojowo, jeśli nie, to siłą. A potem przekazujemy przywództwo Gawd.

*** *** ***

Deadeyes powiedział mi, żebym wróciła po następną robotę. Czując przyjemny ciężar Little Macintosha w moich jukach, z karabinem snajperskim i szturmowym na boku i grzbiecie podejrzewałam, że nie miał na myśli takiej roboty. Jego zaproszenie było jednak doskonałą okazją.

Zostawiłam Calamity'ego na placu, pogrążonego w lekturze "Taktyk Infiltracyjnych Zebr", i ruszyłam dalej sama. Wcale mu się to nie podobało, lecz wyjaśniłam mu, że planowałam pójść dłuższą trasą i zbadać kilka skrzydeł Strzaskanego Kopyta, których jeszcze nie miałam okazji zobaczyć, wliczając w to drogę na dół, do kopalni. Przyglądając się placowi po raz pierwszy w świetle dnia, Calamity dostrzegł metalowe płyty hydraulicznej windy, lecz jej sterowanie było zbyt zniszczone, by je naprawić. Jeśli w ogóle działała, to tylko z wnętrza kopalni. Musiała istnieć inna droga; istniały gdzieś drzwi prowadzące pod więzienie i chciałam wiedzieć, gdzie się znajdowały.

Teraz, podejrzewałam, że je znalazłam.

Byłam za sceną w hali stołówki. Po jednej stronie ciężka, poplamiona kurtyna oddzielała ciemną przestrzeń, w której się znalazłam, od reszty otoczonego napowietrznymi kładkami pomieszczenia, w którym bandyci spożywali posiłki, jakie by one nie były. Uzbierało się tam wystarczająco dużo kurzu bym mogła mieć pewność, że nikt się tam zapuszczał. Bo i po co? Przestrzeń za kurtyną pełna była butwiejących rekwizytów oraz szkieletów setek kucyków. Setki kości upchnięto w szafkach, wysypywały się one wręcz z metalowych pudeł i tworzyły stosy, które musiały być wysokie na trzy kuce, kiedy jeszcze było na nich ciało.

“Goście” Strzaskanego Kopyta stoczyli się w otchłań barbarzyństwa i kanibalizmu, i w końcu każdy z nich znalazł tam swój koniec. Znalazłam logi, widziałam graffiti. Zastanawiałam się, dlaczego nie potykałam się o ich szkielety.

Powyżej, ścianę pokrywał ogromny mural. Malowidło przedstawiało tego samego szlachetnie wyglądającego żołnierza, którego pomnik widziałam w Ponyville. Unosił się na tylnych nogach. Za nim, rozpoznawalna nawet pomimo tego, że mural był bardzo wyblakły i złuszczony, stała Księżniczka Celestia, a jej boska twarz promieniowała aprobatą. Zdałam sobie sprawę, że pierwotnie to właśnie ów obraz widział podczas wszystkich posiłków każdy “gość” Strzaskanego Kopyta, dopóki nie zasłonięto go, budując scenę.

Znalazłam bramę z krat umocowaną w ścianie, wystarczająco szeroką, by zmieścić się w niej wóz. Za nią znajdowała się niewielka strefa śmierci, długa na zaledwie kilka jardów, z dwiema wieżyczkami uzbrojonymi w magiczną broń energetyczną w alkowach po każdej stronie korytarza, obecnie nieaktywnymi. Dalej były grube, metalowe drzwi. Sądząc po martwej żarówce nad nimi, nie miały zasilania.

Chciałam dostać się do środka. I to nie dlatego, że był tam skarbiec wypełniony skarbami. Tylko Deadeyes miał do niego klucz, i tylko on widział Pana Topaza twarzą w twarz. Jeśli ów Pan Topaz naprawdę istniał, to byłam pewna, że znajdę go w skarbcu. Moja wyobraźnia podsuwała mi najróżniejsze obrazy, takie jak dedykowany terminal, pozwalający Deadeyesowi na zdalną rozmowę ze znajdującym się gdzieś daleko Panem Topazem, skarbiec będący tak na prawdę Stajnią, czy też mózgotop-Pan-Topaz.

Brama była zamknięta. Żeby się do niej dostać, musiałam odsunąć na bok góry spróchniałych kości, wstrzymując oddech, żeby nie wdychać wznoszącego się z nich pyłu. Zabrało mi to kilka minut, ale brama w końcu poddała się moim umiejętnościom. Metalowe drzwi okazały się zupełnie inną historią. Można je było otworzyć tylko przy pomocy terminala znajdującego się gdzieś w budynku, i to tylko po przywróceniu zasilania.

*** *** ***

Musiałam spędzić całe godziny, kręcąc się w te i nazad po Strzaskanym Kopycie, próbując przywrócić zasilanie. Była to jedynie kwestia wymiany kilku bezpieczników oraz rzędu baterii iskrowych, lecz okazały się one denerwująco trudne do odnalezienia.

Znalazłam za to zbrojownię na tyłach bocznego pomieszczenia koszar strażników więziennych. Nie było w niej ani jednej sztuki broni – nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że większość bandytów wydawała się być uzbrojona w magiczną broń energetyczną, zapewne zrabowaną z tej właśnie zbrojowni. Znajdował się tam jednak wiszący na ścianie, oprawiony w ramkę artykuł, za którym ukryto sejf.

Kiedy zdejmowałam ramkę ze ściany moją uwagę przykuło zdjęcie - scena pośród lekko prószonego śniegu, przedstawiająca pogrzeb. Do tego wyglądało na to, że kogoś ważnego, gdyż w tle widać było rozmyte sylwetki dwóch skrzydlatych jednorożców. Jeden był widocznie niższy od drugiego. Mój umysł pragnął, aby stały się Boginiami Celestią i Luną.

Nie to jednak zwróciło moją uwagę. Fotograf skupił się na klaczy – samotnym pomarańczowym kucyku który, przeciwieństwie do reszty, odrzucił formalne czarne suknie, zakładając jedynie czarny kowbojski kapelusz i czarną chustę zawiązaną na szyi, ozdobioną z przodu wyobrażeniem przekrojonego na pół jabłka. Aparat uchwycił błysk światła odbijającego się od łzy, która spadła, kiedy klacz rzucała na wieko trumny pojedynczy, piękny kwiat. Jej uroczy znaczek, trzy jabłka, był identyczny z tym na Little Macintoshu.

Cała Equestria Oplakuje Big Macintosha, Bohatera Grani Strzaskanego Kopyta

Dwa tygodnie temu nie znaliśmy nawet jego imienia. Jednak kiedy Big Macintosh własną pierśią osłonił Księżniczkę Celestię przed kulą zebry-zabójcy, ginąc na miejscu, zapisał się w sercach i umysłach wszystkich kochających i patriotycznych kucyków, stając się dla całej Equestrii wzorem odwagi, męstwa i poświęcenia.

Ceremonie pogrzebowe odbyły się dzisiejszego popołudnia na zachodnim placu Pasażu Ministerstw. Zgodnie z dekretem Księżniczki Luny, pegazy sprowadziły na tą okazję drobny śnieg...

*** *** ***

Sejf po otwarciu ujawnił dwa (!) Stealth Bucki, ostatnią z potrzebnych mi baterii iskrowych, oraz różnego rodzaju magazynki zawierające, jak twierdziły znalezione przy nich dokumenty, magicznie ulepszoną amunicję – kule do Little Macintosha, pistoletu wstrzykującego, nawet do siodła bojowego Calamity'ego. Oprócz tego były tam jeszcze dwa rodzaje naboju nieznanego mi kalibru (podejrzałam, że jeden z nich stosowany był w wielolufowych siodłach bojowych, których czasem używali łowcy niewolników).

Właśnie odwieszałam na miejsce oprawiony w ramkę artykuł, skończywszy chować znalezione skarby do juków, kiedy zmroził mnie dźwięk głosów rozmawiających bandytów.

— ...pewna, że nie wleżą na pole minowe? — powiedział jeden z głosów, ogier.

— Tak jakby mnie to obchodziło — parsknęła młodo brzmiąca klacz — Wiesz, co ci przekłęci łowcy zrobili z moim miasteczkiem?

Pośpiesznie skończyłam zawieszać ramkę i przytuliłam się do ściany za pustymi półkami na amunicję, strzygąc uszami.

— Ty nie jesteś czasem z Littlehorn? Podobno je zmasakrowali.

— Nie. Choć było by lepiej, gdyby to zrobili. Schwytali wszystkie klacze i ogiery jakie mogli, a resztę zabili i zostawili, żeby gnili tam, gdzie upadli. A żrebaki i klaczki? Red Eye nie ma żadnego pożytku z dzieciaków. Zostawili więc nas na pastwę losu.

Po krótkiej chwili wypełnionej niezręczną ciszą, klacz kontynuowała:

— Sprawy bardzo szybko przybrały zły obrót. Cholera, było źle od samego początku, zbyt wiele z nas widziało swoich rodziców rozsiekanych na kawałki. Potem było jednak jeszcze gorzej. Dałam stamtąd nogę najszybciej, jak tylko mogłam. Więc nie, osobiście wcale nie będę żałowała, kiedy spora część ich grupy wypadowej skona krzyżując, z pourywanymi kończynami.

Widziałam cienie dwójki bandytów ze Strzaskanego Kopyta przesuwające się po podłodze zbrojowni kiedy przechodzili obok, zbyt zajęci rozmową, by zauważyć cokolwiek odstającego od normy.

— Ano, kapuję. Ale jeśli pułapka Deadeyes'a zadziała, to będziemy mieć całą kupę łowców jako *naszych* niewolników. Będziesz mogła wtedy im odpłacić, powoli i osobiście. Deadeyes'owi raczej nie będzie przeszkadzać, jak paru z jego nowych robotników będzie brakowało kilku zbędnych organów.

Głosy ucichły w oddali, kiedy para znikła za rogiem gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku. Wypuściłam oddech, który bezwiednie wstrzymałam.

Mój umysł rzucił się, by poukładać w całość to, co właśnie usłyszałam. Więc Deadeyes jednak nie chciał zdradzić Strzaskanego Kopyta i pomóc łowcom niewolników. Po prostu udawał, że to robi przed siłami Red Eye'a – wciągając je w pułapkę. Oczywiście, że chciał, żeby weszli *do środka* bez żadnego problemu.

Oszukiwał też Gawd, tak, żeby działała przeciwko niemu. Co znaczyło, że jeśli ten plan miał akceptację od Pana Topaza... lub, co gorsza, był tak naprawdę *jego* planem...

Musiałam porozmawiać z Gawd. Zanim zacznę do kogokolwiek strzelać.

*** *** ***

— Chcę, żebyś zabiła Gawd.

Wlepiłam w Deadeyes'a wzrok. *To* było jego drugie zadanie dla mnie?

Po raz kolejny udając niewiedzę najlepiej jak potrafiłam, zapytałam:

— Kogo?

Deadeyes parsknął.

— Gawdwyne Grimfeathers. Gryficę. Blizna w poprzek dzioba i twarzy. Jedno oko. Nie sposób jej przegapić. — pochylił się na przód z sadystycznym uśmiechem — Jak to zrobisz, jesteś przyjęta. Dołączysz do nas. — zadowolony z siebie, dorzucił jeszcze — Cholera, zrobię cię nawet członkinią mojej osobistej ochrony. Dostaniesz dobry pokój i lepsze jedzenie.

Brakło mi słów. Wciskał mi kit. Wiedziałam to. Ale i tak byłam całkowicie zbita z pantafelku.

Rozejrzałam się dookoła, jak tonący kucyk szukający niosącego ratunek kopyta. I po raz kolejny mój wzrok padł na zdjęcie pierwszej Nadzorczyń Stajni Dwa, Sweetie Belle. Przypomniałam sobie coś, co powiedziała mi kiedyś Velvet. Coś, co powiedziała jej Nadzorczyń.

Spojrzałam prosto w łupkowo szare oczy Deadeyes'a i skinęłam zdecydowanie głową.

— W porządku. Bez problemu.

Kuc mrugnął.

— Czy to wszystko? — zapytałam, jakby zabicie Gawd było najłatwiejszą rzeczą pod słońcem.

— Tak... To chyba wszystko. — uniół brwi.

Odwrociłam się, jakbym zamierzała wyjść, przeszłam kilka kroków, po czym zatrzymałam się. Oglądając się przez ramię, powiedziałam:

— Tyle, że tutejsze kucyki będą cię podejrzewać. Powinieneś mieć jakieś alibi.

Jego brwi uniosły się jeszcze wyżej.

— Słuchaj. Mam plan, który pozwoli ci się pozbyć twojego problemu z gryficą, nie wzbudzając jednocześnie niczych podejrzeń.

Jego oczy zwęziły się.

— Ach tak? Proszę, podziel się nim z nami.

— Słyszałeś kiedyś o kucyku imieniem Sweetie Belle?

Deadeyes mrugnął, zaskoczony, po czym roześmiał się.

— Czy o niej słyszałem? — wskazał na zdjęcie na ścianie — Mam wszystkie jej piosenki, jakie można znaleźć na pustkowiach. Wiesz, że ona kiedyś tu wystąpiła? Tam, na scenie? — pokazał kopytem w kierunku stołówki — Wejdź po schodach zaraz przy drzwiach do mojego biura, a znajdziesz się na balkonie, z którego Naczelnik Przyjaźni wysłuchał jej koncertu.

Kurde. Miałam nadzieję, że chociaż kojarzył imię klaczy, której zdjęcie miał na ścianie, ale nigdy bym nie pomyślała, że ten sadystyczny drań był jej *fanem*.

Deadeyes tymczasem skończył swoje zachwyty i odezwał się znacznie zimniejszym tonem:

— Czemu pytasz?

Wzięłam głęboki oddech.

— Cóż, teraz już wiesz, że nie przybyłam tu samotnie. Tak się składa, że podróżuje ze mną klacz będąca w prostej linii potomkiem Sweetie Belle. I jak się okazuje, talent do muzyki to w jej rodzinie cecha dziedziczna.

To przykuło jego uwagę.

— Ma na imię Velvet, i jest właśnie w drodze do Manehattanu, aby nagrać tam trochę nowej muzyki dla stacji DJ Pon3'go. — zaraz... to wcale nie jest taki głupi pomysł! No i dało by mi to okazję, żeby zamienić kilka słów z najśłynniejszym kucem pustkowi.

— Myślę tak: wydaje mi się, że zdołam ją namówić, żeby tutaj wystąpiła. Na tej samej scenie... — kiedy mówiłam, mój umysł pracował na najwyższych obrotach, aby złożyć w całość przyzwoicie brzmiący plan — Zrobimy to dziś wieczorem. Zaprosimy wszystkich. W tym... Gawdwyne Grimfeathers.

Widziałam, że Deadeyes'owi podoba się mój pomysł. Poza tym, musiał uznać, że poprawiająca morale impreza przyda się przed jutrzejszą bitwą.

— Ukryję się na balkonie. Strzelę dwa razy. Raz prosto w głowę gryficy. Drugi w twój stół, wystarczająco blisko, żeby wyglądało to jakbyś też był celem. — wylewitowałam jeden z moich Stealth Bucków — Zniknę, zanim ktokolwiek będzie w stanie mnie złapać, lub nawet zobaczyć. Możesz zwalić winę na zabójcę wysłanego przez łowców niewolników. Kto tego nie kupi?

Zwłaszcza, że wszyscy wiedzieli, że łowcy mieli zaatakować następnego ranka.

Deadeyes rozważał mój plan, podczas gdy ja stałam w miejscu, czując rosnący niepokój. Musiał zdawać sobie sprawę, że ten plan stawiał go na tej samej linii ognia co Gawd, do tego od początku uważał mnie za szpiega. Czy uwierzy, że zdradzę ją tak szybko – że moja lojalność jest na sprzedaż?

— Podoba mi się! — uśmiechnął się kuc, stukając o siebie przednimi kopytami — Pod jednym warunkiem.

Niedobrze.

— Ta twoja Velvet... Chcę usłyszeć przynajmniej dwie piosenki, zanim przerwiesz koncert. W tym coś z repertuaru Sweetie Belle.

— Um... coś konkretnego?

Uśmiechnął się.

— Cholera, uwielbiam je wszystkie. — usiadł wygodniej — Zaskocz mnie.

Wychodząc z biura Deadeyes'a rozejrzałam się ponownie. Pamiętałam, jak wyszedł ze swoimi ochroniarzami gdzieś w bok, zaraz przed tym, jak ukradłam rejestr. Nie zdziwiłam się zbyt, kiedy okazało się, że owo przejście prowadziło na znajdujący się powyżej balkon. Przyjrzałam się mu dokładnie. Zacieniony. Osłonięty. Idealna pozycja snajperska.

Schodząc z powrotem po schodach, zauważyłam chorobliwy, jabłkowo zielony blask, którego wcześniej nie widziałam. Jeden z terminali na jednym z biurek w pomieszczeniu na zewnątrz biura Deadeyes'a wrócił do życia. Byłam pewna, że wcześniej nie działał. Wymiana bezpieczników i baterii iskrowych musiała przywrócić mu zasilanie. Wyjmując narzędzie dostępne, włączyłam się do niego.

Nie było żadnego menu, żadnych wpisów. Tylko jedna, jedyna funkcja. Znalazłam terminal otwierający drzwi do kopalni i skarbcza pod nimi.

*** *** ***

— Wpakuję Deadeyes'owi kulę w łeb — powiedziałam Gawd — A potem drugą w twój stół. Następnie użyję Stealth Bucka, żeby zniknąć zanim ktokolwiek zdoła nie rozpoznać. Możesz to zwalić na mających zaatakować jutro łowców niewolników. — gryficy rozważała sceptycznie mój pomysł — Pewnie, część kucyków może i będzie coś podejrzewała, ale nie na tyle, żeby coś z tym zrobić. Zwłaszcza, jeśli przejmiesz dowództwo i poprowadzisz ich do zwycięstwa nad łowcami.

Gawd pokręciła głową.

— Muszę ci przyznać, jesteś naprawdę przebiegłą intrygantką. — poczułam przypływ dumy, ale zaraz potem zastanowiłam się, jak świadczyła o mnie radość z tego typu pochwały.

Kilka minut później dołączyłam do Calamity'ego i Velvet Remedy czekających w wagonie na bydło.

Śpiewaczka dreptała niespokojnie dookoła.

— Koncert? I tylko kilka godzin na przygotowania?

— Przypomnij mi, dlaczego to robimy? — Calamity był zdezorientowany — Po czyjej stronie teraz jesteśmy?

— Po tej samej co poprzednio. Podstawa planu nie powinna się zmienić. Najpierw jednak chcę, żeby oboje znaleźli się w tym samym pomieszczeniu.

Velvet Remedy otworzyła swoje pudełko, wyciągając notes.

— Jakie piosenki zaśpiewać? Większość mojej muzyki nie nadaje się dla bandytów. Z jakiegoś powodu nie wydaje mi się, żeby piosenki o pokoju i miłości, cnotach i wolności się im spodobały.

— Cóż, większość z nich to zbiegli niewolnicy... — zarżał Calamity.

Velvet przebiegła wzrokiem swoją listę piosenek.

— Ta odpada. Ta... może się nadać. O, ta była by świetna, ale została napisana na dwie osoby. (Czytałam w starym czasopiśmie, że kiedyś w klubie Hoofbeats wykonały ją Pinkie Pie i Vinyl Scratch.) Mogłabym ją przerobić, ale naprawdę potrzebowałabym akompaniamentu. Może coś, co sama napisałam? A może...

Mrugnęłam, przypominając coś sobie.

— Deadeyes spodziewa się dwóch piosenek przed atakiem. Powiedział, że jedna musi być autorstwa Sweetie Belle.

Velvet fuknęła.

— Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

— Ee... Teraz?

— Cudownie. — zarżała — Dwie piosenki, w tym jedna napisane przez moją pra-pra-i-tak-dalej-babcię. Cóż, przynajmniej znam większość z nich na pamięć. Ale druga...

Nie mogłam powstrzymać się od przewrócenia oczyma. Choć uwielbiałam muzykę Velvet, i od nowa zakochiwałam się w niej z każdą piosenką, tego wieczora potrzebowaliśmy jedynie czegoś, co odwróci uwagę kuców. Nie musiało to być idealne.

— Myślisz, że dasz radę utrzymać na sobie wszystkie oczy na widowni? — zapytał Calamity.

Velvet Remedy wyglądała na figlarnie urażoną.

— Ależ oczywiście, mój drogi. Nie będą patrzyli nikogo innego na sali. — wierzyłam w to. Wierzyłam, że Velvet utrzymałaby na sobie wszystkie oczy na widowni nawet, jeśli była by tam Ditzzy Doo. Nagle westchnęła — Nikogo innego! Muszę się wykapać! Och nie, co ja na siebie założę!?

— Mogę ci z tym pomóc.

Velvet przekrzywiła głowę.

— Nie, dziękuję. Potrafię się całkiem dobrze wykąpać samemu, moja droga.

Zająknęłam się, rumieniąc się mocno. Nie to miałam na myśli, ale teraz kiedy to powiedziała nie mogłam wyrzucić tego obrazu z głowy. Serce zatrzepotało mi w piersi.

Calamity zarzął i odwrócił się

— Dam wam trochę czasu we dwie na... — zamachał kopytem w naszym kierunku — cokolwiek to jest. — szybko się oddalił, mrużąc coś pod nosem, że pomoże kucykom Gawd w uruchomieniu działka plazmowego przed przybyciem sił Red Eye'a. Nie zwróciłam na to uwagi. Obchodziła mnie jedynie Velvet Remedy; czułam, jak czerwoną mam twarz.

— Ja... — tupnęłam — Miałam na myśli, że mam dla ciebie idealną rzecz do założenia na koncert! — Skupiając magię, otworzyłam moje juki i wyjęłam najpiękniejszą suknię na pustkowiach, znalezisko z Carousel Boutique.

*** *** ***

*„Ile razy mam próbować? Jak się do tego zabrać mam...?
O proszę Cię Celestio! Może tym razem radę dam...
Tym razem radę da-a-am!”*

Velvet Remedy wyglądała olśniewająco. Suknia leżała na niej idealnie, czyniąc ją piękniejszą niż kiedykolwiek. Jej róg świecił, zalewając scenę ciepłym magicznym światłem, którego barwa zmieniała się wraz z jej głosem i nastrojem piosenki.

*“Z ziemi się podnoszę, nic mnie nie pokona,
Od zwątpienia silniejsza wola ma niezlomna!”*

Jako pierwszą zdecydowała się zaśpiewać tą samą, łamiącą serce piosenkę z radia. Coś, co znaliby wszyscy. I nie tylko dorównywała oryginałowi. Była... wspaniała.

Przykucnęłam na balkonie, okryta jak zawsze obrzydliwym prześcieradłem. S.A.T.S. był gotowy. Załadowany karabin snajperski spoczywał u mojego boku. Nie potrafiłam pogodzić się z tym, że planowałam zrujnować jej występ.

Deadeyes nie był głupcem. Kiedy weszłam na balkon, znalazłam pozostawioną dla mnie notkę: *Jeden strzał w cel, drugi w stół. Scena wyleci w powietrze, jeśli strzelisz w cokolwiek innego.*

Niech spłonie w ogniu Celestii! Nawet, gdybym zdołała powiadomić o tym Calamity'ego, to nie był on wcale lepszy w rozbieraniu ładunków wybuchowych niż ja. (Byłam tak zła, że złośliwie ukradłam Deadeyes'owi jego kopię „Klejnotów Stosowanych”.)

Velvet Remedy doprowadziła piosenkę do wyciskającego łyż finału. Widownia, tuziny bandytów, siedziała w zdumionej ciszy. Nawet Gawd patrzyła na nią z otwartym dziobem. Nastąpiło kilka sekund gęstej ciszy, a scena pogrążyła się w mroku rozjaśnianym jedynie słabym blaskiem rogu Remedy. A potem cała sala wybuchła burzą aplauzu, od którego zatrzęsł się balkon, a z sufitu spadły kawałki tynku, kiedy dziesiątki kuców tupnęły z uznaniem kopytami.

Dostrzegłam, jak Deadeyes spogląda w stronę balkonu. Kątem oka dostrzegła to także Gawd. Pociągnęła długi łyk z blaszanego kubka, nie przestając go obserwować.

Ze sceny popłynęła nowa melodia, grana przez orkiestrę skrytą w rogu Velvet.

Medyczka zaczęła tupać kopytem o deski, nadając rytm. Po chwili dołączyły do niej niemal wszystkie siedzące na widowni kuce.

— *Dosyć tych wyciskaczy łez, kto chce się zabawić!?* — zawołała. Odpowiedział jej entuzjastyczny ryk widowni.

Uniosłam uszy; moje oczy otworzyły się szeroko. I przez krótką chwilę zapomniałam całkowicie o karabinie snajperskim u mojego boku. Liczyło się tylko to, że nie rozpoznawałam tej melodii. Nigdy nie słyszałam tej piosenki!

*"Galop, nie klus, noc płonie już, nie każ mi czekać znów!
Kapela już gra, tłum rusza w tan, dziś chcę być właśnie tu!
Uśmiechnij się, pokaż, że chcesz!
Bądź szalony! Roztańczony!
Kopytem tup, o podłogę łup! To właśnie rock 'n' roll!"*

Słodka Celstio! Jak tak dalej pójdzie, to sama zdetonuje ukryte pod sceną ładunki wybuchowe!

Uniosłam magią karabin, nie chcąc teraz pozwolić, żeby dokończyła piosenkę. Z całym tym światłem i muzyką płynącymi ze sceny, Velvet Remedy skupiła na sobie uwagę absolutnie każdego kucyka (i gryfa) na widowni. Na Lunę, pewnie mogłabym teraz zacząć strzelać i nikt by nie zwrócił na to uwagi dopóki połowa sali nie leżała by martwa! To znaczy, jeśli scena nie wyleciała by w powietrze w kuli ognia.

*"Dość lenistwa; chcę szaleństwa!
Kiedy zrozumiesz, że to IMPREZA?"*

Zanurzając się w doskonałość czaru celowniczego mojego PipBucka, zaznaczyłam w nim sekwencję trzech celów.

BANG!! BANG!!

Pierwszy strzał przebił blaszany kubek, ochlapując Gawd jej napojem i wbijając się w stół. Zanim ktokolwiek mógł zareagować, drugi strzał oderwał Deadeyes'owi pół głowy, obryzgując kilka siedzących przed nim kucyków. Moim trzecim celem była Velvet, która zajaśniała światłem nie pochodzącym z jej rogu, kiedy telekinetycznie zepchnęłam ją ze sceny poprzez znajdującą się za nią ciężką kurtynę.

Zgodnie ze słowami Deadeyes'a, niecałe uderzenie serca później cały przód sceny zdetonował wśród ryku ognia i deszczu odłamków. Padło wiele z kuców siedzących w pierwszych rzędach. Zobaczyłam jak Gawd się zatacza, zraniona drewnianym szrapnelem.

Włączyłam Stealth Bucka i pogalopowałam cicho w kierunku schodów. Z dołu dobiegł mnie czyjś krzyk:

— To łowcy niewolników! Zaatakowali wcześniej!

Całkiem logiczny wniosek, pomyślałam, dopadając stopni. Byłam w połowie drogi na dół kiedy dochodzący z zewnątrz odgłos eksplozji uświadomił mi, że panikujący kuc wcale się nie pomylił.

Biegnać ile sił do terminala nie mogłam się nadziwić zbiegowi okoliczności. Choć nie, zdałam sobie sprawę dopadając biurka i aktywując jedyną funkcję terminala, to wcale nie był zbieg okoliczności. Łowcy Red Eye'a nie zamierzali zaufać Deadeyes'owi. Tak jak Deadeyes planował zdradzić ich, musieli oni od początku planować wcześniejszy atak. A teraz, *wszyscy byli tutaj*. Zgodnie z planem, nawet Gawd była obecna, razem ze swoimi poplecznikami. Ściągnęliśmy wszystkie kucyki w jedno miejsce i zostawiliśmy rubieże i punkty strażnicze nie bronione. Musieli zaatakować *teraz*.

*** *** ***

Stealth Buck właśnie się wyczerpywał, kiedy wbiegłam do pomieszczenia za zasłonami. Znalazłam tam Velvet Remedy wstającą z kupy szkieletów. Z jej wspaniałej sukni zwisały kości.

Dysząc, przeprosiłam ją, opowiadając o notce z balkonu. Machnęła tylko kopytem.

— Och, nic się nie stało. Zdecydowanie preferuję lądowanie w stercie szkieletów od skończenia jako jeden z nich. — posłała mi uśmiech, od którego rozplynęło mi się serce — Dziękuję ci, Littlepip.

— Czy jednak nie mogłaś pozwolić mi skończyć? — zapytała po chwili.

Uśmiechnęłam się, lekko zawstydzona.

— Bałam się, że sama zdetonujesz ładunki pod sceną. — spojrzałam w kierunku kurtyny. Sądząc po drgającym blasku na jej krawędziach, jej druga strona stanęła w ogniu. Była na tyle gruba, że płomienie jeszcze nie zdołały przebić się na drugą stronę. Spojrzałam w górę. Czarny dym zaczął przesłaniać sufit. Z drugiej strony kurtyny doszły mnie odgłosy strzałów i wyładowań magicznej energii. Rozejrzałam się, wypatrując Calamity'ego.

Rdzawy pegaz wgalopował chwilę później, aż prawie spadł mu jego kowbojski kapelusz. W zębach trzymał łańcuszek z kluczem.

Velvet Remedy przewróciła oczyma, śmiejąc się.

— Zatrzymałeś się, żeby zabrać klucz?

Calamity odwrócił głowę, zawieszając łańcuszek na jednej z luf swojego siodła bojowego.

— A jak! — wyszczerzył zęby — Zależnie od tego, kto wygra, już planuję tu wrócić i przeszukać ciała.

Velvet uniosła nos. Nawet ja przewróciłam oczami. Potem zaś odwróciłam się w kierunku bramy.

— Ruszajmy...

Calamity chwycił zębami za mój ogon, zatrzymując mnie.

— Hej, czekaj no, maleńka. — machnął głową w kierunku wrót. Odwróciłam się, żeby spojrzeć w ich stronę.

Po drugiej stronie bramy, pomiędzy nami oraz obecnie otwartymi metalowymi drzwiami, zobaczyłam cztery wieżyczki celujące dokładnie we mnie.

Jęknęłam. Przywrócenie zasilania musiało na nowo je uaktywnić. Jak mogłam być tak głupia, żeby nie zdać sobie z tego sprawy wcześniej. Mogłabym zająć się nimi wcześniej, kiedy nie stanowiły zagrożenia.

— Damy radę z czterema na raz? — zapytał Calamity.

— Nie... czekaj... niech pomyślę.

— Dlaczego w ogóle tam idziemy? — zapytała Velvet, najwyraźniej zakładając, że reszta planu wzięła właśnie w łeb.

Miałam ochotę się z nią zgodzić. A tym bardziej:

— Cóż, mam nadzieję że jest tam jakaś droga na zewnątrz.

Uniosłam PipBucka, patrząc na niego.

— Dobra, mamy szczęście. Mam jeszcze jednego Stealth Bucka. Użyję go, żeby podejść do wieżyczek i przeprogramować je, tak jak tamte przy konwoju pegazów. Dzięki temu przepuszczą nas, i jednocześnie powstrzymają każdego, kto chciałby za nami podążyć.

Mieliśmy plan. Wyjęłam z PipBucka wyczerpanego Stealth Bucka i włożyłam nowego – ostatniego, jakiego miałam. Następnie zabrałam się do roboty.

*** *** ***

Przekradaliśmy się przez jaskinie zamienione w magazyny, zastawione skrzyniami oznaczonymi napisem z nazwą Zagrody Re-edukacyjnej im. Strzaskanego Kopyta. Kilka oznaczonych było okręgiem ogłaszającym, że mają Priorytet Poziomu „Celestia”, oraz wypalonymi inicjałami M.N.M lub M.T.W.

— Cóż — szepnęłam do moich towarzyszy — wiem, że M.N.M to Ministerstwo Magii, ale o tym drugim jeszcze nie słyszałam.

Calamity zatrzymał się ze zdezorientowanym wyrazem twarzy.

— Że jak...?

— Ministerstwo Nauk Magicznych — odpowiedziała niedbale Velvet Remedy, ratując go przed niechcynym bólem głowy.

Niski, głęboki głos przetoczył się przez jaskinie, zatrzymując nas w miejscu.

— A więc to wy jesteście kucykami, które przybyły do mojego miasta i narobiły tyle bałaganu. Zabiliście mojego porucznika, a teraz idziecie zabić mnie.

— Pan Topaz? — zapytał Calamity, powtarzając moje myśli. Ten ktoś albo używał niezwykle dobrze ukrytego systemu głośników, albo stosował magię, aby dostosować moc swojego głosu. Podejrzewałam to ostatnie. A to prawdopodobnie oznaczało jednorożca. Albo... uderzyła mnie gorsza myśl... jedną z owych pseudo-bogin, jak owo stworzenie ze starej Appleloosy.

A ja akurat nie miałam na podorędziu żadnego wagonu kolejowego.

Szybko rozdałam magiczną amunicję, odmawiając modlitwę do Celestii, a potem kolejną do Luny. Jeśli Pan Topaz był jednym z owych monstrów, będziemy potrzebowali tyle boskiej pomocy ile tylko się da.

Calamity szybko zmienił magazynki w swoim siodle bojowym. Velvet Remdy jednak wyglądała, jakby głos nie zrobił na niej wrażenia. Jej róg zaczął świecić, a kiedy otworzyła usta jej głos rozbrzmiał z każdego kamienia i belki w kopalni:

— **TEŻ. TAK. POTRAFIĘ.**

Jej słowa odbiły się od ścian echem. Potem ściszyła głos do mniej epickiego poziomu, aż był on tylko odrobinę bardziej przerażający od Pana Topaza.

— **Gdzie są twoje maniery? Skończ tą zabawę w chowanego i wyjdź się przywitać.**

Uniosłam Little Macintosha, przygotowując się na pojawienie się, byłam tego teraz pewna, jednej z owych pseudo-bogów.

Zdałam sobie sprawę jak bardzo się myliłam, kiedy zza rogu, oblizując zęby, wyłonił się pokryty pomarańczową łuską smok.

*** *** ***

— Cóż — krzyknął Calamity, lecąc przez jaskinie szybciej niż ja lub Velvet byliśmy w stanie galopować — Przynajmniej nie jest *dorośłym* smokiem!

Przyspieszyłam, w jakiś sposób utrzymując równe tempo z Velvet Remedy. Calamity miał rację, choć niewiele nam to pomagało - Pan Topaz był nieco mniejszy od wagonu kolejowego, nie licząc zakończonego ostrym szpikulcem ogona. Mógłby mnie połknąć w całości; Calamity'ego pożarłby na dwa razy. Nie bardzo dostrzegałam, w jaki sposób ta wiedza miała nam pomóc.

Biegnać ile sił, używając magii wyrwałam ze ściany kolejny podtrzymujący strop stempel. Słyszałam kruszące się skały walącego się sufitu chodnika. Nie było to w stanie zatrzymać smoka, ale przynajmniej spowalniało go na tyle, że mogliśmy się utrzymać poza zasięgiem jego zębów!

— Mogliśmy to rozwiązać dyplomatycznie — krzyknęła cwałująca Velvet — Ale Calamity zaczął do niego strzelać!

Oddychałam coraz ciężiej, a w moim boku rosły ogniste ciernie bólu przebijające mi z wolna płuca. Usłyszałam, jak Pan Topaz przedziera się przez ostatni zawal.

— Na następnym w lewo! — wykrztusiłam. Nie mogłam sprawdzić automapy mojego PipBucka, ale kompas Błysku Pola Widzenia wskazywał, że biegliśmy po okręgu.

— Przynajmniej wiemy, że nowa amunicja działa! — Calamity zawirował w miejscu, oddając w kierunku smoka bliźniaczy strzał, a następnie skręcił ostro w lewo, znikając za rogiem. Podążyliśmy za nim. Pieczara, którą właśnie opuściliśmy zamieniła się w ogniste piekło, a ściany zatrzęśły się od smoczego ryku.

Amunicja działała. Pociski gładko przebijały opancerzoną skórę gada. Tyle że był on tak wielki, że tylko go to rozwścieczało.

Nie zwalniając, Velvet zaśmiała się kiedy przebiegaliśmy obok dużych metalowych drzwi.

— Proszę, oto twój skarbiec! Ktoś ma ochotę zatrzymać się i go otworzyć?

Cynicznie retoryczne pytanie.

Calamity zatrzymał się na następnym rozwidleniu, unosząc się nad podłogą w całkiem niezłe kontrolowanej panice.

— Littlepip, którądy teraz?

— Teraz powinno być w prawo! — tak przynajmniej miałam nadzieję. Jeśli się myliłam, to właśnie posłałam nas w ślepy zaułek. Lub raczej „martwy zaułek”.

Calamity zniknął w prawym przejściu.

Luna i Celestia czuwały nad nami. Wybór okazał się trafny, a chodnik zawiódł nas z powrotem do pierwszego tunelu. Rozpoznając miejsce, Calamity nie czekając poleciał z powrotem do Strzaskanego Kopyta, gdzie trwała zażarta walka między bandytami i łowcami niewolników.

Druga wybiegła Velvet Remedy. Jednak kiedy przyszła moja kolej na bieg ku drzwiom, pan Topaz w końcu mnie dogonił. Jego kły zaślinyły, kiedy otworzył swoją wielką paszczę. Na kark spadła mi kropla śliny.

Kiedy przebiegałam przez drzwi, wieżyczki otworzyły ogień.

Smok wrzasnął! Ryk wstrząsnął halą stołówki, na chwilę przerywając walkę. Wszystkie kucyki odwróciły się, by ujrzeć obecnie dość ciężko rannego i ekstremalnie wkurzonego smoka, ziejącego ogniem w kierunku wszystkich czterech wieżeczek. Maszyny ucichły z elektrycznym sykiem, kiedy płomienie stopiły ich wewnętrzne mechanizmy. Poczułam, jak dosięga mnie ogień; moja sierść szczytniała, moja skóra pokryła się pęcherzami. Jedna z moich toreb zapaliła się.

Moje serce łomotało, jakby miało za chwilę eksplodować. Moje boki płonęły z wysiłku. Próbowałam krzyknąć do reszty, ale nie mogłam złapać tchu. Upadłabym, zanim zdołałabym stamtąd uciec.

Skręciłam, oddalając się od pozostałych, a płomienie z torby zaczęły rozprzestrzeniać się na uprzęż podtrzymującą mój karabin snajperski; biegłam w kierunku przejścia zbyt wąskiego dla smoka. Za moimi plecami stołówka stała w płomieniach. Pan Topaz palił na śmierć wszystkich, bandytów i łowców.

A potem zniknął.

*** *** ***

Oparłam się ciężko o ścianę łazienki dwa korytarze od stołówki, dysząc z wysiłkiem. Umywalkę obok mnie wypełniała woda, zalewająca moje juki i spływająca na podłogę obok mnie. Czułam jej zimno na mojej poparzonej skórze. Opadłam na podłogę i tarzałam się w rosnącej kałuży, pragnąc zanurzyć w niej każdą bolącą mnie część ciała. Rozpłakałam się.

Próbowałam nie myśleć o tym, jak silny był ból. Skupić się na czymś innym. Nie było to łatwe.

Smok, jak przypuszczałam, wrócił z powrotem do kopalń. Mógł latać po hali stołówki ile tylko chciał, ale reszta pomieszczeń była dla niego zbyt ciasna. Prawdopodobnie urodził się na dole, w podziemiu,

albo...

Obok mnie padła na ziemię Velvet Remedy, oddychając ciężko. Było niemalże cudem, że żadna z nas nie było ciężiej ranna lub martwa. Spróbowałam się podnieść, ale teraz, kiedy się zatrzymałam, moje nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

— Gdzie... jest... smok? — wydyszałam, szukając potwierdzenia mojej teorii. Velvet tylko pokręciła głową. Nie wiedziała.

— A gdzie... Calamity?

— Nie... wiem... straciłam go... z oczu.

Cholera. Calamity nie był na tyle głupi, żeby polecieć za smokiem, albo do skarbcza, prawda? Nie, oczywiście że nie. Po prostu się rozdzieliliśmy, to wszystko. Ale jeśli łowcy i bandyci nadal walczyli ze sobą na placu, to stanie w naszym miejscu spotkań nie było zbyt bezpieczne. Czy poleciałby z powrotem do Węzła R-7, żeby tam na nas poczekać? Czy dołączyłby do walki na...

— Luno przenajświętsza!

— Littlepip? — Velvet Remedy, choć wyczerpana, zaalarmowana uniosła uszy.

Zdałam sobie sprawę, że owa wielka dziura w drucie kolczastym nad głównym placem musiała zostać zrobiona przez smoka. Co prowadziło do jednego wniosku:

— Winda towarowa! Smok zamierza wyjść na zewnątrz przez górny plac!

Syknęłam z bólu, kiedy spróbowałam się poruszyć. Velvet spojrzała na mnie z przestraszeniem.

— Little... pip! Zaczekaj... pozwól mi... — z trudem otworzyła jedną ze swoich żółtych skrzynek medycznych, których używała jako juków, i wyciągnęła nasze ostatnie lecznicze bandaże oraz strzykawkę — To... złagodzi... ból... — wydyszała powoli — Wierz mi... będziesz tego potrzebowała.

Miała absolutną rację. Środek przeciwbólowy pomógł. Krzyknęłam i tak.

Kiedy skończyła, kręciło mi się w głowie, a mój wzrok był rozmyty od łez. Jęknęłam słabo, a kiedy w końcu uniosłam się na nogi, trzęsły mi się kolana.

— Littlepip, nie jesteś w stanie... — w głosie Velvet Remedy nie było przekonania, jedynie smutek. Wiedziała tak samo jak ja, że nie mogłyśmy tu zostać. Wiedziała też, że muszę spróbować pomóc Calamity'emu.

— Czy... mamy w zapasach trochę Bucka? — przygryzłam dolną wargę, naprawdę nie chcąc prosić jej o coś takiego.

Medyczka oszczędziła mi zwyczajowego westchnienia dezaprobaty, po prostu wyciągając butelkę i podając mi kilka żółto-pomarańczowych tabletek.

— Dzięki. — wyszeptalam, wkładając je do ust. Podstawiłam głowę pod bijący z kranu wodospad i połknęłam je bez rozgryzania.

Zajęło to kilka chwil, wystarczająco długich, żebym zaczęła się bać, że nie dadzą potrzebnego mi efektu.

Poczułam przeszywające mnie uderzenie energii. Poczułam się silniejsza, szybsza, mniej wyczerpana i bardziej przytomna. To... to było dobre. Zdecydowanie wystarczy!

Uniosłam moje przemoczone juki ze zlewu i z powrotem na plecy, sycząc z bólu, kiedy otarły się o moją zabandażowaną skórę. „Kiepski pomysł...” pomyślałam, zdejmując je i pozwalając im unosić się obok mnie.

Odwracając się do Velvet Remedy, postarałam się, żeby mój głos nie brzmiał, jakbym jej rozkazywała.

— Velvet, czy mogłabyś odnaleźć Calamity’ego? Tylko bądź ostrożna. Nie daj się złapać... nikomu.

Skinęła głową.

— Co zamierzasz zrobić, Littlepip?

Spojrzałam w kierunku drzwi.

— Zejdę z powrotem na dół. Dostanę się do tamtego skarbca. Jeśli będziemy mieli szczęście, znajdę tam coś, co da nam szansę w starciu ze smokiem.

— Ale... — zmarszczyła brew — Littlepip, nie masz klucza!

Uśmiechnęłam się.

— Czy kiedykolwiek potrzebowałam klucza, żeby otworzyć zamek?

*** *** ***

Hala stołówek zamieniła się w jatkę. Płomienie wciąż lizały zwęgloną ramę sceny. Powietrze wypełnione było duszącym dymem. Odór pieczonych kucyków, z których niektóre wciąż jeszcze się paliły, próbował mnie udusić.

Śpieszyłam się, ale i tak poświęciłam chwilę, żeby podnieść z podłogi kilka przypadkowych, mniej uszkodzonych sztuk broni, zanim przekroczyłam powyginaną od gorąca bramę i stopione resztki wieżyczek. Za moimi plecami wypalona belka, która do niedawna podtrzymywała kurtynę na scenie, spadła z łoskotem w dół. Zaczęłam iść w kierunku skarbca.

Wychodząc zza rogu znalazłam się twarzą w twarz z kłaczą w skórzanym pancerzu, uzbrojoną w magiczną lancę energetyczną. Nie byłam w stanie stwierdzić, po czyjej była stronie, ale i tak nie miało to znaczenia; od razu przyjęła postawę bojową.

— Zaczekaj...

Pchnęła świecący grot lancy w moim kierunku. Próbowałam uskoczyć, uderzając bokiem w ścianę jaskini. Linia kłującej agonii musnęła bok mojego karku, a dotknięta przez nią skóra stopiła się i nabrzmiała pęcherzami.

— Aaaaaaaachh!

Klacz cofnęła się i machnęła grotem magicznej lancy w kierunku mojej głowy. Opadłam na brzuch, unikając ciosu, i cisnęłam moje torby w jej twarz. Zatoczyła się w tył.

Zanim oprzytomniała wskoczyłam w S.A.T.S i wycelowalam w nią z jednej z moich przypadkowych broni. Serce opadło mi w piersi kiedy uświadomiłam sobie, że był to magiczny karabin energetyczny, i że nie miałam zielonego pojęcia, jak się z niego strzela. Klacz pchnęła lancą w kierunku moich oczu i zasłoniłam się karabinem, odbijając ją. Broń zasyczała i odkształciła się w miejscu, gdzie dotknął jej grot.

Upuściłam wszystko, co trzymałam moją magią i zaszarżowałam w jej kierunku z opuszczoną głową. Znowu machnęła lancą, ale byłam zbyt blisko; drzewce uderzyło w mój bok wystarczająco mocno, żeby nabić mi siniaka przez mój opancerzony kombinezon roboczy, ale nie wystarczająco, żeby zbić mnie z kursu. Mój róg przebił jej pancerz i utkwiał głęboko w jej piersi.

Poczułam jak lanca uderza mnie w głowę, kiedy klacz wypuściła ją z ust. Próbowала się cofnąć, ale napierałam aż poczułam, że słabnie, a jej ciało staje się bezwładne.

Cofnęłam się, a mój róg pokryty był krwią. Klacz upadła u moich kopyt, nadal oddychając płytko.

Poczułam, jak krew spływa w dół mojej twarzy. Jej kropla wpadła mi do lewego oka, zabarwiając mój wzrok szkarłatem.

—Nie chcę umierać... — klacz jęknęła słabo.

Skrzywiłam się. Spróbowałam mrugnąć, by pozbyć się krwi z oka, ale tylko wpadły do niego kolejne krople, rozmazując mój wzrok.

— Już za późno. Przykro mi. — i to była prawda — Nie mogę ci pomóc.

Zastanowiłam się, czy nie skrócić jej karku. I tak była już martwa – po co miała cierpieć? Uniosłam kopyto...

... i przesłam nad nią. Nie byłam w stanie tego zrobić. Nie ważne, w co zmieniały mnie pustkowia, to jednak nie zmieniałam się jeszcze aż tak.

Przesłam kilka stóp dalej w dół chodnika, po czym zatrzymałam się i odwróciłam. Uniosłam magią moje juki, otwierając je i wyciągając mój koc. Delikatnie zakryłam nim martwą klacz. Następnie podniosłam z ziemi całą broń, poza karabinem energetycznym, i dodałam jej lancę do mojej kolekcji.

Nie napotkałam już innych przeszkód w drodze do skarbcza.

*** *** ***

Zapadki wskoczyły na swoje miejsce, a metalowe drzwi skarbcza otworzyły się z kliknięciem. A potem włączyły się wszystkie alarmy.

Najwyraźniej, choć nie potrzebowałam klucza, żeby je otworzyć, to potrzebowałam go, żeby zrobić to po cichu.

Oparłam przednie nogi o ciężkie metalowe drzwi i otworzyłam je z wysiłkiem. (Czego raczej bym nie dokonała, gdybym nie była naszprycowana Buckiem.) Wkroczyłam w ciemność i skupiłam się, wzmacniając blask mojego rogu, by oświetlić pomieszczenie.

Spodziewałam się wielu rzeczy. To nie była żadna z nich.

Pokój był od sufitu do podłogi wypełniony półkami Wspomnień. Każda kulka oznaczona była datą i „numerem gościa”. Musiały być tam ich setki.

Moje uszy i ogon opadły. Nie było tam, nic, co mogło by pomóc przeciwko...

— **Proszę, proszę. Ale ty jesteś uparta.**

Odwrociłam się gwałtownie. Pan Topaz przykucnął w drzwiach skarbca, wsuwając do środka łeb. Jego ramiona były zbyt szerokie, by mógł wejść do środka, ale kompletnie blokowały mi drogę ucieczki. A jeden ognisty oddech spopieliłby wszystko, co było w środku.

— **Szedłem właśnie, żeby pożreć kilkoro twoich przyjaciół na zewnątrz, zwłaszcza tego smakowicie wyglądającego pegaza, ale ty po prostu musiałaś zadzwonić dzwoneczkiem, że obiad podano.**

Zdołałam odskoczyć poza zasięg jego szczęk, uderzając zadem o półkę za moimi plecami, zrzucając Wspomnienia na podłogę. Rozejrzałam się w panice, ale nie było tam miejsca, gdzie mogłabym się schować lub uciec.

— **Po prostu musiałaś dać się zjeść pierwsza. Podziwiam twój upór.** — smok zażartował okrutnie.

— P-pierwsza? — Pan Topaz był sadystą, ale na szczęście gadatliwym. Jeśli udało by mi się podtrzymać rozmowę wystarczająco długo, może wymyśliłabym, jak się stamtąd wyrwać. Wysilałam mózg, szukając jakiegoś telekinetycznego triku, który mógłby mnie ocalić.

— **Klejnoty to oczywiście tylko deser. To wy, kucyki, jesteście głównym daniem.** — smok zmarszczył brew, sprawiając, że miałam ochotę krzyknąć — **Oczywiście, wszystko zepsułaś. Poświęciłem tyle czasu i wysiłku, żeby zapewnić sobie odpowiednio duży posiłek przed zapadnięciem w sen, a teraz prawie wszyscy są martwi!**

Jego spojrzenie pełne było nienawiści.

— **Smakujecie znacznie, znacznie lepiej, kiedy jesteście żywe.**

Cofnęłam się, napierając na półkę i zrzucając tuziny małych, mistycznych kulek, które rozsypały się po podłodze, tocząc się we wszystkich kierunkach.

Toczące się Wspomnienia na moment przykuły uwagę gada.

— **Co ty w ogóle spodziewałaś się tu znaleźć? Góry klejnotów? Myślałaś może, że podobałby mi się wzywanie tu tego imbecyla Deadeyes'a za każdym razem, kiedy dopadłby mnie głód? Nie pomyślałaś, żeby zajrzeć do skrzyń?**

— N-nie.

Zaśmiał się, a jego oddech rozgrzał pomieszczenie tak bardzo, że poczułam, że zaraz zemdleję. Nie mogłam się skupić; moje juki i cała zebrana broń upadły na podłogę. Smok spojrzał na nią z rozbawieniem.

— **A może chodziło o broń? Może miałaś nadzieję, że znajdziesz tu Magiczną Strzelbę Przeciwko Smokom? Tak, bo na pewno znalazłby się smok na tyle głupi, żeby trzymać w domu coś takiego.**

— n-n-ie — powiedziała ponownie, choć tym razem trafił całkiem blisko.

Smok wyciągnął łapę w głąb pomieszczenia i pchnął szponem jedną z kulek w moją stronę.

— **Nie krępuj się. Wypróbuj jedną. W końcu to dla nich umarłaś.**

Czekała mnie śmierć.

Z wahaniem wyciągnęłam kopyto w kierunku jednego ze Wspomnień, ale zaraz je cofnęłam. Pociłam się obficie. Gorąco panujące w skarbcu pozbawiało mnie z wolna sił. Jeszcze trochę, a nie będę w stanie ustać na nogach. Jednak nadal jedyną strategią, jaką miałam było przeciąganie rozmowy.

— c-co w nich jest?

— **Zeznania.** — smok uśmiechnął się okrutnie — **Najwyraźniej stara klacz waszego Ministerstwa Morale nie do końca ufała normalnym metodom przesłuchań. Z powodu jakiegoś incydentu z młodości czy czegoś w tym guście. Więc zamiast tego wyszkolili jednorożce takie jak ty, żeby mogły wejrzeć do wspomnień kucyków, znaleźć obciążające myśli i doświadczenia, i wyrwać je z umysłów do przechowania w archiwach. W końcu nie chcieli wysłać do Strzaskanego Kopyta jakiegoś niewinnego kucyka.**

— co... ale... to jest...

— **Oczywiście, po zakończeniu procesu nie wszyscy byli tacy sami jak przed nim, pod względem kondycji umysłowej. Ale jak to zwykliście mawiać, kucyki? Nie upieczesz ciasta bez pokrojenia kilku jabłek?** — znowu się zaśmiał. Tym razem straciłam przytomność. Ale chyba tylko na chwilę. W każdym razie, nagle leżałam na podłodze, nie pamiętając, żebym upadała.

— to... okropne.

Smok przestał się śmiać.

— **Widzisz, mały kucyku? Spójrz, co robicie sobie nawzajem tam na górze. Spójrz, co robiliście tu, na dole. Dlaczego uważasz, że wasz żałosny, nikczemny gatunek nadaje się do czegokolwiek innego, niż bycie pożartym przez smoka?**

Spróbowałam wstać. Nie byłam w stanie. Gorąco sprawiało, że wszystkie moje oparzenia płonęły w agonii. Czułam się, jakbym znowu się paliła, tylko tym razem było to jeszcze gorsze. Krzyknęłam z bólu.

Smok zaraz mnie pożre. Nie było innej możliwości, żadnej sztuczki, żadnej drogi ucieczki. Miałam tam umrzeć. W taki sposób. Sama, w małym metalowym pokoju w podziemiach więzienia.

Mimo to spróbowałam odpowiedzieć.

— N-nie wszyscy... z nas... są źli. Niektórzy... z nas... są dobrzy.

Smok parsknął, dodając do gorąca kłęb dymu.

— **Tak, chyba masz rację.** — wpatrywał się we mnie, i zajęło mi chwilę, zanim zdałam sobie sprawę, że patrzył na mój róg. Gorąco zmieniło pokrywającą go krew w suchą skorupę.

Jego głos pełen był kpiny.

— **Tak, w sumie część z was jest dobra... z keczupem. Czyni was przyjemnie śliskimi, łatwymi do połknięcia!** — skrzywiłam się ze strachu, że znowu się roześmieje. Powietrze było niemal zbyt gorące, żeby oddychać — **Choć osobiście wolę musztardę...**

Kopalniany chodnik na zewnątrz eksplodował płynnym zielonym ogniem; wybuch uderzył smoka w bok z siłą wystarczającą, żeby wyrwać mu głowę ze skarbca, i posłał go toczącego się po podłodze.

— *liiiiii—HAAA!*

Łogostawione, zimne powietrze wpłynęło do pomieszczenia, rozjaśniając mi w głowie. To był głos Calamity'ego!

— *Jak ci się podobają takie jabłka!* — pegaz wleciał w moje pole widzenia, dźwigając magiczne działko plazmowe z Węzła R-7.

— Hej Li'lip! Kurde, dobrze zobaczyć, że jesteś cała! Przepraszam, że tyle mi to zajęło. Ta rzecz jest cholernie ciężka bez odpowiedniej uprząży! — wielka, trzyłufowa broń, większa od niego, była przywiązana pod jego brzuchem, ze źródłem zasilania przymocowanym liną na wierzchu jego siodła bojowego.

Zachichotałam na wpół histerycznie.

— W-wyglądasz idiotycznie!

— Ta, cóż... — jego jowialny głos umilkł na chwilę — No nie, chyba żartujesz!

— Co?

— Zaczyna się podnosić! W nogi!

Bieg nieco przekraczał w tym momencie moje siły. Jedna trzecia mojego ciała bolała, jakby przystawiono do niej pochodnię. Zatoczyłam się, usiłując się skupić. Moje juki zaczęły się unosić.

Calamity wypalił ponownie. Odrzut posłał go lecącego w tył, a strzał wstrząsnął całym korytarzem. Smok wydał z siebie pełen bólu i furii ryk.

Luno w całej swej chwale, czego trzeba, żeby zabić jednego z nich!?

Unosząc telekinezą resztę moich rzeczy, wybiegłam z pokoju. Calamity przegryzał właśnie liny trzymające działko.

— Nie mogę jednocześnie nieść jego i ciebie.

Spojrzałam za siebie. Smok był ciężko ranny, być może nawet śmiertelnie. Jedno z jego skrzydeł było odkształcone i zdeformowane. Łuski na jego boku przysmażyły się do żeber. Jedna z jego nóg zmieniła się w zdeformowany kikut. Mimo to zdołał wstać, a jego oczy pełne były wściekłości. Otworzył paszczę, żeby zionąć ogniem.

Zionięcie miało jedynie ułamek siły w porównaniu do poprzednich. Poczułam poprzedzającą je falę

gorącego powietrza, jednak płomienie już nas nie dosięgły.

Chwilę później Calamity niósł mnie przez powietrze, w górę, poprzez otwór szybu opuszczonej hydraulicznej windy i w kierunku zachmurzonego nieba. Minęliśmy Gawd, toczącą brutalną powietrzną walkę z dwoma gryfami z obozu łowców; kątem mojego nie zakrwawionego oka zobaczyłam, jak wyciąga swoją magiczną strzelbę energetyczną i wypala z niej z bliska w pierś jednego z przeciwników. Pod nami plac wypełniał chaos walczących kucyków; eksplozje i wystrzały magicznej energii tworzyły pelen przemocy taniec dookoła mrocznego, pustego kwadratu windy.

Smok, choć wydawało się to niemożliwe, podążył za nami.

Nawet z uszkodzonym skrzydłem był szybszy od nas, przelatując naszym tropem przez dziurę w siatce z kolczastego drutu. Calamity byłby bardziej zwrotny, gdyby miał zdrowe skrzydło i nie musiał nieść dodatkowego ciężaru. W tym momencie, byliśmy latającą cegłą złożoną z dwóch kucyków.

Podlatując bliżej, Pan Topaz otworzył szeroko paszczę. Zerkając w tył, zobaczyłam rzędy morderczo ostrych zębów otaczające czarny otwór nienasyconej gardzieli.

Wpadłam na pewien pomysł.

— Leć prosto.

Calamity stęknął, wysilając skrzydła, aby nabrać prędkości.

— Mam nadzieję, że wiesz co robisz...

Otworzyłam juki i wyjęłam resztę moich granatów. Wszystkie. Dostrzegłam z zabarwionym trwogą rozbawieniem, że naprawdę wyglądały jak metalowe jabłka.

— Jak ci się podobają... — wyszeptałam, wypuszczając wszystko poza zawleczkami, posyłając granaty prosto w wygodniałe smocze gardło.

Kiedy w nim znikły, uświadomiłam sobie, że mogłam popełnić straszliwy błąd. Smoki zioną ogniem i jedzą kamienie szlachetne. Czemu pomyślałam, że kilka granatów przyprawiło by go o coś więcej niż niestrawność?

Chwilę później zobaczyłam, że moje wątpliwości były słuszne, gdyż granaty nie wyrządziły absolutnie żadnej krzywdy zdrowym częściom smoka... wysadziły jednak jego zraniony bok, przeżarty i odkształcony przez potężne uderzenia magicznej plazmy, w gejzerze krwawych wnętrzności.

Pan Topaz, z ziejącą w boku dziurą większą od trzech kuców, był niemal na pewno martwy zanim jeszcze uderzył bezwładnie o ziemię, sunąc po niej jeszcze dobre trzydzieści jardów i pozostawiając za sobą smugę krwi i innych płynów ciała.

Calamity skręcił, przechylając się, zabierając nas z powrotem do Węzła. W niektórych częściach Strzaskanego Kopyta wciąż trwały walki, ale oboje mieliśmy już dosyć wrażeń jak na jedną noc.

— O, cholera. — Calamity powiedział zmęczonym głosem — Prawie żem zapomniał o Velvet Remedy. — zanim zdążyłam wpaść w panikę, poinformował mnie — Ukryła się w Centrum Odwiedzin. Powiedziałem jej, że zaraz po nią wrócę.

Delikatnie posadził mnie na ziemi, po czym odleciał w ciemność, wyglądając na całkowicie

wyczerpanego. Siedziałam tam, czekając na niego, i w którymś momencie usnęłam.

Przypis: Następny Poziom

Nowy Profit: Kucyk-Snajper — Twoja szansa na trafienie głowy przeciwnika przy użyciu S.A.T.S. wzrasta o 25%.

(Przypis tłumaczy: Chcielibyśmy gorąco podziękować **aTOMowi** za jego pomoc przy tłumaczeniu pojawiających się w tym rozdziale fragmentów piosenek Velvet Remedy. Koniecznie przeczytajcie tłumaczony przez niego fanfik **“Crisis: Equestria”**, dostępny pod tym linkiem: <http://www.fge.com.pl/2012/12/fanfik-crisis-equestria.html>)

Zapraszamy również do komentowania naszej pracy w temacie na forum MLP Polska, lub w komentarzach pod postem z tłumaczeniem FoE na blogu For Glorious Equestria. Wszystkie opinie są mile widziane :))